Koncert
---

Co go skłoniło do podjęcia się poprowadzenia tego koncertu, tego wielkiego z wielkich, największego z wymarzonych, tego koncertu, którym właściwie - jak myśli - już kiedyś w młodości miał możność bawić swą duszę, choć wie, że niezupełnie wówczas świadomie ale tak było, było, było bo musiało być. A więc , czy można dziś mówić o tym co go do tego wielkiego występu skłoniło, czy ktoś ma lub będzie miał prawo o to zapytać ? A jeśli nawet zapyta - myśli -to przecież takie pytanie nie wymaga odpowiedzi, to się samemu wie - tak właśnie - to się samemu wie - albo nigdy wiedzieć nie będzie. Ale ta sprawa, to już wybaczcie pytający moi przyjaciele, wykracza poza pojęcie wszelkich prawideł duszy i nędznego człowieczego jestestwa. To się ma w sobie, albo się tego nie ma. Zresztą - czy ja się właśnie dzisiaj muszę tym trapić, denerwować właśnie teraz gdy muszę wykonać swoje zadanie życia, podjąć dzieło nieokreślone w jakichkolwiek kategoriach bytu, a więc moje i tylko moje dzieło pierwszego i ostatecznego narodzenia, spełnić dzień całkowitego odkupienia siebie. Czymże bowiem byłem ja, niedoskonały zlepek dźwięków w tym moim przeżytym odnajdywaniu właściwego tonu, poszukiwaniu barw i odcieni tak odlegle brzmiących w jakimkolwiek kontakcie z inną , nibypodobną materią nibypodobnych tonów - zlepionych przez naturę w mniej lub bardziej doskonałe, wyraziste lub prawiewyraziste accentato ? Prędzej czy później ale na pewno każdy z tych dysonansowych stworów zacznie odnajdywać samego siebie, określać w naturze swe najwłaściwsze miejsce.

Jeśli więc wreszcie chcę podjąc taki dyskurs z moją i otaczającą mnie naturą w moim wielkim bo ostatecznym koncercie - czyż może mi kto przeszkodzić, czy to wogóle jest

możliwe - ta ingerencja osamotniona brakiem jakichkolwiek przesłanek wiedzy. Przecież mnie w gruncie rzeczy nie ma, nigdy mnie nie było, nie istniałem, dźwięczałem jedynie mniej lub bardziej harmonicznie dostrajając swe własne współbrzmienie męką tworzenia własnego JA. I tylko ja je znam na tyle by móc powiedzieć sobie - dzisiaj mój wielki i ostatni koncert, koncert już tak doskonały, że następnego nie będzie, następnego nie potrzeba nikomu, zwłaszcza naturze, której dzisiaj oddam swój człowieczy dług, stanę się wreszcie elementem harmonicznym natury, wejdę w to co jeszcze niesłyszalne dla innych nieprzygotowanych do takiej indywidualnej bo jedynej możliwej uczty. A więc nie może być żadnego pogrzebu, żadnego całopalenia, żadnego obrządku poza tym jedynym jakże wspaniałym obrządkiem wstępowania w naturę, w miejsce nieoznaczone, w miejsce ktore się nazywa WSZĘDZIE a więc w liście osiki drżące przy powiewie morskiego oddechu, w liście pelargonii zapłakanej nie w hołdzie dla czegokolwiek wymyślonego ale z powodu roli jaką jej nadała natura, w zapatrzenie kochanki, która pozostanie na tym padole nadal zasłuchana oczekując na swój wielki koncert, którego może nie usłyszy nigdy...

Tak więc tej nocy ze szczegolną dbałością odprawiał swoje misterium przed wielkim, największym bo ostatecznym muzykowaniem, które na pewno doprowadzi go wreszcie do połączenia z muzycznym absolutem, o którym marzył całe swe nie najdłuższe przecież życie. Jednemu - pomyślał - dane jest mordować się nieskończenie długo, odnajdywać siebie w zbiorowisku nieskończenie druzgotanych, zafałszowanych światłem zwierciadeł, tym trudniejszych w odczytywaniu papilarnych zwojów świadomości, że zbryzganych cieczą odrętwiającą każde nawet najkrótsze mgnienie wzroku, drugiemu - czas, jakby kosmiczne

zrzucone z niebios w orkiestrę furioso, poprzestawia nuty goniąc do wspaniałego finału, po którym już tylko odrętwienie i otchłań - przedsionek natury, w którym już tylko szeptem złożyć batutę, zrzucić z siebie powłokę brudu i potu i iść, iść, iść...

Więc leż spokojnie, więc śpij moja Eurydyko, dziewczyno poszukująca, dziewczyno wiecznego snu i miłosnego odrętwienia, dziewczyno pożądliwości nigdy nie spełnionej, bo czyż można do granic pożądania przystąpić nieoczyszczonym ostatecznie. Więc śpij a ja ciebie będę szukał na drodze tej mojej ostatniej muzyki nie oglądając się za siebie na tym szlaku ostatecznego oczyszczenia.

Powiedziała - nie ! Po raz pierwszy tak powiedziała przed dwudziestu laty rzucając na podłogę instrument, przerywając mu prowadzenie koncertu muzyki Bartóka, wtedy gdy Allegro barbaro brzmiało tak jak sobie wymarzył, wydusił, spiekł, osmalił tę muzykę szatańskim tańcem serca, okiełznał czarnego rumaka siekąc go po lśniącym karku batutą. Powiedziała - nie, zbuntowała się ta mała czarnooka skrzypaczka. Czy muzyka - pomyślał - musi być zależna od takich nieosiodłanych czarnookich, niebieskookich pośredników, rozlepiających się przy byle podmuchu kłębków poszarpanej nici, parcianego powroza, z którego tylko spleść pętlę.?

Musi, musi, musi zależeć ! - wykrzykiwała w jakimś opętaniu - a ty także musisz się podporządkować takiej, naszej muzyce, ty nieżyciowy geniuszu, dyrygencie z innego świata ! Musisz albo koniec z koncertami i będzie tak jak dzisiaj, rozumiesz ? , będzie plajta, skandal, gwizdy publiczności, niedokończone koncerty. Wiesz co to są niedkończone koncerty?! To są żakalcowate bułki, po których tylko niesmak, obrzydzenie.

Znaleźli się w hotelowym pokoiku.-Tak - pomyślał czując

od okna lekki powiew wiatru od morza - taki nocny chłód wiał nam wówczas do hotelowego pokoiku, chłód środziemnomorski, pomyślałem wówczas, chłód który nie zwiastował dobrego poranka. A miłość, a spełnienie, a rozkosz z tą czarnooką zbuntowaną wysłanniczką muzy ? To było wspaniałe. Szaleni, skłóceni, pobici muzyką padliśmy tej nocy porażeni sobą. I tylko wiatr roztrwaniał nad ociemniałym morzem jakiś śpiew, czyjąś radość lub cierpienie, a może Zeuza gniew ?

Gdzie jesteś teraz Eurydyko, czarnooka zbuntowana muzyko ? Dziewczyno mojego Rzymu, dlaczego odszedłem tej nocy, a może to ty odeszłaś i ja - i nie oglądaliśmy się za sobą już nigdy a mimo to różne nasze drogi?!

Powiedziałem ci wówczas - zagrasz w mojej wielkiej symfonii, w mojej jedynej symfonii, która będzie moim najprawdziwszym koncertem, wielkim i ostatnim koncertem. Rzekłaś - nie ! Ale ja wiem, że będziesz dziś tą moją wielką muzyką jak ten od morza dzisiejszy wiatr, jak to ociemniałe okno. Dziś spełni się . Dziś - znaczyć będzie - doskonałość. Czymże wobec takiej chwili są te wszystkie ukłony Rzymu, Ameryk, Paryża, Moskwy. Czymże wobec takiej chwili jak nie żałosnym klekotem, kakofonią są te koncertowe lata, podróże i hołdy. Jakiej muzyce składane ?!. Niedoskonałości ! Brzęczeniu ! Nie dla mnie taka muzyka, nie dla mnie Parade Marsz i lepkie con amore, nie, nie, nie! Muzyka nie potrzebuje instrumentów i oklasków. Muzyka jest sama sobą, muzykę trzeba mieć w sobie, w każdym drgnieniu serca i mgnieniu oka. W sobie ! Ja jestem orkiestrą, ja będę dyrygował sobą. Będę słyszalny po granice natury. Tak - będę słyszalny symfonią swojego ciała, absolutem swojej istoty !

Przyglądała mu się od dłuższej chwili - oświetlanemu przez wychylający się znad morskiego widnokręgu, zaglądający w okno świt. Przystawał tak w oknie coraz częściej - zamyślony, nieobecny.

Cierpi na bezsenność - pomyślała - może go coś gnębi ? Dzisiaj wieczorem koncert, potem znowu tournee do Włoch, Francji. Może jest przemęczony ? Tyle lat harówki, prawie bez wytchnienia, wiecznie ta muzyka, muzyka, muzyka ...Powinien jeszcze pospać parę godzin. Powinien !? Czyż ja właściwie wiem co powinien, czy wiem cokolwiek o nim, człowieku znanym mi od dwudziestu lat - i nieznanym, widzianym i niewidzianym.

- Nie widzisz mnie! - tak rzekł wówczas w tym małym nadmorskim hoteliku - widzisz nic, widzisz materię, ja też widzę w lustrze tylko materię. Nas nie ma. Z woli stwórcy, którego nikt nigdy nie widział, choć ponoć nas stworzył na podobieństwo swoje, możemy się rozpaść w nic, nawet nie w proch. Czymże bowiem jest ten proch, o jakim prochu mowił stwórca - czy wogóle mowił ? Jesteśmy dźwiękami, jesteśmy słowem, kontaktujemy się się ze sobą kolorami materii.

Więc czegóż on pragnie poza tą swoją słyszalnością siebie, poza odnajdywaniem niewyobrażalnego poza muzyką - jak twierdzi - człowieczego EGO ? Przez tych dwadzieścia lat otaczał się nieprawdopodobnie wielką liczbą ludzi - ludzi-twarzy - jak o nich mawia - ludzi-kolorów, które drgają jak rozszczepione atomy tęczy poruszając się w jakimś tylko jemu wyobrażalnym tańcu, przemieniając się w nim rolami uszeregowując w duszy falami natchnienia. Tak - fala natchnienia. Właściwie, choć to wszystko wiem,po wielekroć powtarzane przez Tadeusza przy różnych okazjach, nie potrafię sobie wyobrazić tej jego wizji widzenia, wizji która mu się kształtuje w to jego natchnienie. Sale koncertowe, tłumy widzów, ku którym się często odwraca pozostawiając orkiestrę samej sobie - bo te tłumy są mi potrzebne ! - tłumy, w które wlepia wzrok bez cienia uśmiechu, którym się przygląda tak długo aż ujrzy, aż coś mu w duszy zadrży, poruszy jakąś nić przywracającą ziemską świadomość.

Tę świadomość, która jest mu potrzebna do następnego zapatrzenia - zasłuchania, jak go określają na całym świecie, zapatrzony-zasłuchany. Rozmowa mistrza z Van Gogh´em - ... Ach, najadłam się wówczas wstydu i sama się potem wstydziłam za siebie. On znowu odniósł triumf - jak powiedział -"nad tłumem, do którego i ty się zaliczacz, do muzycznego tłumu..." Amsterdamska popołudniówka obwieściła światu -"mistrz Tadeusz Saski, światowej sławy dyrygent nawiązał wczoraj kontakt malarsko-muzyczny z Vincentem Van Goghiem. Miało to miejsce w czasie zorganizowanego z udziałem artystycznej śmietanki zwiedzania Rijksmuseum Vincent Van Gogh. Mistrz Tadeusz Saski będący przejazdem w Amsterdamie, gdzie zgodził się dać jeden koncert ze swoją słynną orkiestrą, zażyczył sobie zwiedzenie tego muzeum. Zafascynowany malarstwem Van Gogh´a już po pierwszych przywitaniach jakby zapomniał o towarzyszącej mu publiczności powodując swym zapatrzeniem w dzieła malarskie, iż wszyscy obecni bezszelestnie wycofali się z sal muzealnych. Tadeusz Saski został sam. Ten przedziwny muzyk chodził po muzeum parę godzin. Kiedy zaaferowany przedłużającym się zwiedzaniem dyrektor Rijksmuseum poszedł odszukać mistrza, stał się świadkiem rzeczy niebywałej. Tadeusz Saski stał pośrodku największej sali w galerii i... dyrygował zapatrzony w słynne, opalizujące żółcią słońca i pól "Słoneczniki". Jak nam doniósł obecny na tej "uroczystości" dziennikarz, nie przerwano mistrzowi Saskiemu tego niesłychanego koncertowania. Sala bezszelestnie napełniała się oniemiałą z wrażenia publicznością. Kiedy mistrz skończył - nagrodzono go owacyjnymi oklaskami. I przyjął je naturalnie, tak jakby przed momentem zszedł z podium sali koncertowej amsterdamskiej filharmonii. A potem, wieczorem odbył się w filharmonii wspaniały koncert orkiestry Saskiego. Owacje, szał na sali, bisy - rzadko spotykane w praktyce dyrygenckiej mistrza, który zazwyczaj nie bisuje.

Pragniemy donieść czytelnikom, że naszą wiadomość o koncercie w Rijksmuseum w wykonaniu Tadeusza Saskiego, bez orkiestry a z towarzyszeniem wspaniałego malarstwa," muzycznego", jak twierdziło już wielu artystów muzyków, otóż tę wiadomość podaliśmy bez cienia złośliwości. Czymżeż bowiem jest artysta, jak nie właśnie twórcą tak dalece uprawnionym do przedstawiania własnych wizji świata, twórcą mającym prawo decydować o kształcie własnego EGO. Nam pozostaje szacunek dla artysty bo czyż On nie obdarzył nas szacunkiem swoim umożliwiając obcowanie z najwyższym twórczym uwznioślenieniem objawiającym się zapomnieniem o rzeczy materialnej? Duch - albo co innego ale nie nam tego dochodzić - wziął tego dnia górę nad materią, komunikowały się tam, w sali muzeum Van Goghá niewidzialne elementy świadomości czy też podświadomości, elementy pranatury. "

I tak oto, Tadeusz odniósł jednego dnia dwa sukcesy a ja ? Znowu poniosłam klęskę za swoje zawstydzenie, za uważanie smyczka za smyczek, skrzypiec za trzymany w ręce kawałek drewna choć jest to - jak mawia Tadeusz - zmaterializowana na moment forma natury, głos jej serca, jej natchnienie przekazywane mi na czas kontaktowania się z muzyką. A kiedy odkładam - powie - te skrzypce do futerału, stają się tylko kawałkiem drewna, po który daremnie sięgają ci, którym nie jest dane obcowanie z tym wtajemniczeniem. Wstydziłam się więc siebie ja, która niepomna współżycia z geniuszem, także tych ludzi tam w Rijksmuseum potraktowałam jak ten złożony do futerału kawałek drewna. A więc w jakiś sposób obraziłam i jego, Tadeusza, boć przecież winnam wiedzieć, że ów muzealny koncert odbył się za jego wolą, z gestu istoty, która w zmaterializowane ludzkie powłoki wsączyła natchnienie, odczuwanie, pozwoliła im słyszeć tę muzykę płynącą z sal przepełnionych

słońcem Van Gogh'a, odczuwac jego udręki i niepowtarzalne ekstazy. I oni natchnieni przez mistrza stali się tą wspaniałą orkiestrą, o której ten człowiek mówił mi już tyle razy, orkiestrą jego życia. Nie nadarmo więc stało się to moje własne upokorzenie. Nie warto zapominać, że jeśli się odwiedza naród, który w swej płodności zrodził Van Gogh'a, to i sam wart jest tego wielkiego serca, tego twórczego uwznioślenia którego był przyczyną i wówczas - w dzień narodzin - i dziś, w momencie vangogh'owskiego koncertu Tadeusza.I to jest piękne, to jest prawda, do której czasami dochodzi się po wielu wielu latach, a do której nie musi dochodzić twórca - on jej narodzinom zawsze daje początek.

Więc kimże-czymże jestem ja ? Czy tylko kawałkiem drewna wkładanym lub nie do ciemnego futerału, cząstką natury ożywianą batutą niby czarodziejską różdżką w dzień i w noc? A może mnie na prawdę nie ma, może staję się tylko kiedy nadchodzi ten moment wielkiej muzyki, wielkiego muzykowania, obcowania natury z naturą ?

Więc kimże-czymże jestem ja, czarnooka skrzypaczka w tę noc upojnej miłości, której odczuwanie daje mi radość i jest grającą przestrzenią bez dna, niebios i widnokręgu, w tę noc upojną po której już nic, nic - do następnego obnażenia duszy. A jednak jestem, muszę być, choć za jego przyczyną ale jestem także poza nim i widzę ale w osamotnieniu nie słyszę. I on to wie a po nim wiem ja, ja - przewodniczka po ziemskich szlakach zwyczajnej jego bo ludzkiej natury. Tej, której on zdaje się już nie widzieć, co najwyżej słyszeć i przeczuwać.Więc jestem niby tą wiecznie znikającą Eurydyką, którą - by odnaleźć - trzeba sobie stwarzać na nowo, zawsze od początku i on to czyni i dostaję od niego tę świadomość nieuchronności znikania, by powracać jakby w cyklu muzycznej macierzyńskości bez potomstwa, w wiecznych narodzinach i rozpadaniu się w istotę natury